Nr. 5. KRAKÓW, SOBOTA 5 PAŹDZIERNIKA 1912. Rok I.



:-: :-: ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI :-: :-:
:-: KRAKÓW — ULICA SŁAWKOWSKA L. 6. :-:

CENA PRENUMERATY W CAŁEJ AUSTRYI :-:	KWARTALNIE . .	1·80 K
	PÓŁROCZNIE . .	3·50 „
	ROCZNIE	6·— „
W NIEMCZECH, ROSYI I INNYCH KRAJACH :-:	ROCZNIE . . .	6·— M.
		3·— R.
		8·— Fr.
NUMER POJEDYNCZY W KRAKOWIE		10 h

CENY OGŁOSZEŃ:

INSERATY — WIERSZ PETITOWY — PIERWSZY RAZ . . .	—·40 h
KAŻDY NASTĘPNY RAZ	—·25 „
NADESŁANE — WIERSZ PETITOWY	—·60 „
DONIESIENIA O ŚLUBACH, ZARĘCZYNACH ITP. WIADOMOŚCI — ZA WIERSZ	1·— „

WYRAZY GRUBSZEM PISMEM LICZY SIĘ PODWÓJNIE.

POCHODNIA

TYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM BIEŻĄCYM

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

WYDAWCA I NACZELNY REDAKTOR: :-: :-: **ROMAN WANDZEL.**

Zaprenumerować „POCHODNIĘ“ kwartalnie, półrocznie i rocznie, można w każdej chwili.

Do Szanownych Czytelników!

Uprasza się uprzejmie Wszystkich, którzy przez zatrzymanie pierwszego numeru zobowiązali zię zaprenumerować „POCHODNIĘ, aby raczyli jak najwcześniej nadesłać należytość za prenumeratę, gdyż przez taką zwłokę utrudnia się jedynie prowadzenie ksiąg.

Prenumeratę kwartalną, półroczną i roczną, uiszczać można każdej chwili.

Żądajcie wszędzie „POCHODNI“, w restauracyach i na dworcach kolejowych!

Mobilizacya w Królestwie.

Burza to straszna zawisła nad spokojną dotąd Europą, bo słychać zewsząd, że Bałkan wre i kipi, jak rozpalony kocioł.

Naprożno od dawien dawna wytężają politycy swoje mózgi, aby znaleźć jaki środek uspokojenia słowiańskich ludów bałkańskich, naprożno rzucają uspokajające hasła!

O spokoju bowiem w Europie mowy być nie może, gdzie uświadomione ludy żądają utraconej wolności.

Jak bowiem wiadomo — i jak ostatnie telegramy donoszą, Serbia, Grecya, Czarnogóra, i Bułgarya, przybrały groźną postawę wobec Turcyi i stanęły w bojowym ordynku, by na dane hasło rzucić się na Turków!

Ale czy same te drobne państewka ośmieliłyby się, rozpoczynać tę od dawna wiszącą nad nami wojnę europejską.,. widzimy, że inni szatani byli tam czynni; bo cóż znaczy ta mobilizacya innych mocarstw, jak Rosyi...

Tak tedy lada dzień na Bałkanach, zamiast grzecznie zredagowych not dyplomatycznych, przemówią tam karabiny i armaty.

A w zawierusze bałkańskiej interesowane są niemal wszystkie państwa europejskie. Pominąwszy już trzy mniejsze państewka, które razem w przyszłej wojnie przeciwko Turcyi zamierzają wystąpić, a więc Bułgaryę, Serbię i Grecyę, sprawa bałkańska dotyczy głównie Austryi i Rosyi. Rzec można, że wszystko, co się na Bałkanach dzieje i dziać będzie, jest jakby przeznaczone na to, by te dwa państwa przeciwko sobie przeciwstawić.

Nie może bowiem zezwolić Rosya, by w rozpoczynającej się zawierusze odniosła korzyść Austrya, podobnie jak Austrya nie może zezwolić na to, by odniosła z niej korzyść Rosya. Mobilizacyę w Królestwie Polskiem, rozpoczętą obecnie przez wrogi nam rząd carski, czem sobie wytłómaczymy?..

W sprawie bałkańskiej Polska jest bezpośrednio zainteresowana. W wyniku tej sprawy zależeć nam może bardzo, bardzo dużo...

Nie mamy samodzielnego państwa, jednakże w przyszłej wojnie dużo zaważyć możemy i — powinniśmy. Nie możemy zezwolić na to, by w razie wojny pułki rdzennie polskie, nie o swoją sprawę walczyły i krew darmo przelewały. Nie możemy pozwoiić, by brat przeciwko bratu, Polak przeciwko Polakowi stawał i bił się o to, by część czekającej na rozbiór Turcyi, Rosyi się dostała. Przeciwnie, musimy starać się o to, aby nadarzającą się sposobność ile możności jak najbardziej wykorzystać. Przyjrzyjmy się pokrótce stanowi rzeczy:

Jeżeli wojna między państewkami bałkańskiemi a Turcyą wybuchnie, musi przyjść do drugiej wojny. To musimy zrozumieć i jasno sobie przedstawić. Nie bez z góry obmyślanego planu Rosya pobudza ciągle Serbię i Bułgaryę i Grecyę do kroków zaczepnych przeciw Turcyi. I nie bez z góry obmyślanego planu rozrzuca się na pograniczu austryacko-rosyjskiem tysiące odezw, wskazujących na Austryę, jako na największego wroga Rosyi. I nie bez z góry obmyślanego planu rząd rosyjski rozrzucaniu tych odezw nie tylko nie przeszkadza, lecz nawet swoim półurzędowym organom pozwala na wojownicze artykuły, przeciwko Austryi skierowane.

To wszystko na jeden cel i jeden plan. **Rosya prze do wojny z Austryą.** I jak się zdaje do wojny tej przyjdzie. Zawierucha bałkańska to tylko pozór, to tylko wstęp do walnej rozprawy dwóch państw, z losami których, losy historyi nas związały. Rozprawa ta wisi w powietrzu, jeżeli dotychczas nie przyszła na nią kolej, to tylko dlatego, że dyplomacya europejska, najgłupsza pod słońcem sztuka mamienia narodów, przy pomocy uspokajających not dyplomatycznych, wszystkie swoje siły wytęża, by stosunek Rosyi do Austryi w nienajgorszem przedstawić świetle.

Ale nas ta dyplomacya nie powinna omamić. My powinniśmy zrozumieć, że dyplomacya choćby wszystkie swoje siły wytężała, nie może zaradzić temu, co niechybnie musi nastąpić. Nie może zaradzić wojnie austryacko-rosyjskiej.

Wojna ta wisi w powietrzu. Przy pomocy not dyplomatycznych i grzecznych frazesów w telegramach gabinetów obu interesowanych państw, będzie ją można odroczyć na tydzień, miesiąc, rok, ale nigdy jej zapobiedz. Co być musi, to być musi!

Rosya zrozumiała dobrze. Burzę na półwyspie bałkańskim ona ułożyła, przygotowała i wyreżyserowała; za jej staraniem, za jej namową, intrygą, a kto wie, czy także nie za jej pomocą finansową, albo obietnicą tej pomocy, państewka bałkańskie groźnie swymi mieczykami pobrzękują. A jeżeliby ktoś tego nie mógł zrozumieć, ten niech zrozumie rzecz inną, dla nas stokroć ważniejszą: mobilizacyę w Królestwie.

Rząd carski wie, że my dużo jeszcze znaczymy... Rząd carski wie, że my mimo wszystko mamy siłę; I rząd carski wie, że jest koniecznością dziejową, iż musimy nadarzającą się zawieruchę dla siebie wykorzystać.

Sympatye nasze nie po stronie Rosyi. Jeżeli wybuchnie wojna austryacko-rosyjska, przeciw Rosyi stanąć musimy. Tego Rosya się boi: powstania antycarskiego w Królestwie. Bo to powstanie zawiązałoby jej ręce, krępowałoby swobodę ruchów jej wojsk, przysparzałoby jej kłopotów zewnątrz własnego państwa.

Zrozumiała to Rosya, ale nie zrozumiała tego Austrya. Ta czeka aż z Królestwa wszystkich zdolnych do noszenia broni wywiozą nad Ural lub do Kaukazu. Austrya jest cierpliwa i czeka.

A tymczasem ona czekać nie powinna. Na „próbną mobilizacyę wojsk rosyjskich w Królestwie winna Austrya odpowiedzieć mobilizacyą faktyczną swoich sił wojskowych, Na nofy dyplomatyczne szkoda tracić czasu.

Zbliżającej się wojny my się wcale nie boimy. Niestety naród nasz jest w takiem położeniu, że nic a nic stracić nie możemy, bo nam wszystko carska przemoc zabrała. A nie boimy się wojny tembardziej, że ona dać nam może przynajmniej cząstkę tego, do czego ciągle dążymy: wolności.

Rosya jest naszym najcięższym wrogiem, — to rzecz jedna.

W razie wojny austryacko-rosyjskiej rozum polityczny dyktuje nam, byśmy stanęli przy Austryi, to rzecz druga.

Wreszcie rzecz trzecia: Czekamy czem Austrya świadoma naszego względem niej stanowiska odpowie na mobilzacyę w Królestwie Polskiem?

L. Kronenberg.

Sejm galicyjski.

Ciągłe deszcze i stale nawiedzająca nas niepogoda przygnębia nas wszystkich!

A nieurodzaj ta straszna klęska już wyciągnęła swą kościstą suchą dłoń nad naszą biedną Galicyą.

Co pocznie ten biedny nasz wieśniak, co pocznie robotnik, któremu już tak drożyzna dzisiejsza daje się we znaki, że musi się obywać o suchym kawałku chleba, gdzie zgłodniałe dzieci coraz częściej wołają jeść!

I pytamy się wszyscy co będzie dalej?

Dajcie nam pracę wołają całe rzesze robotników naszych... ulżyjcie nam w podatkach wołają wieśniacy, bo inaczej zginiemy z głodu!

A tymczasem z góry patrzą na ten — jak mówią — motłoch moznowładcy nasi i milczą zaklęcie, patrząc na nich z pogardą, jako na niżej urodzonych.

Górnictwo w obcych rękach, przemysł zaniedbany!

Obce kapitały zalewają nasz kraj, obce wyroby tandeckie dławią nasz przemysł, bo nawet obcy robotnicy wydzierają naszym pracę w naszym kraju!

Smutne te sprawy boleśnie przejmują każdego szlachetnie myślącego Polaka, bo każdy taki widzi, jak na dłoni, że ręce kierujące naszą polityką spychają lud nasz do rzędu parobków.

Czas jednak już położyć kres tej gnuśności i ospałości, czas otrząsnąć się ze ślamazarności i zabrać się do energicznej pracy, bo im dalej tem, będzie gorzej i może być zapóźno!

A przecież my w kraju możemy rządzić się swobodnie polityką rozumną, przecież mamy swój własny sejm; jednak ów sejm galicyjski, jedyny polski sejm na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, jedyne miejsce obrad, gdzie nam wolno wszystko mówić i wszystkiego żądać, stanowczo reformy potrzebnje...

Stan dotychczasowy nadal żadną miarą utrzymać się nie może. Ciężary podatkowe ponoszą wszyscy bez wyjątku obywatele, i biedni i bogaci, i uczeni i nieuczeni, przywileje powinni mieć także wszyscy: i biedni i bogaci, i uczeni i nieuczeni. Gdzie o sprawach kraju i narodu się decyduje, nie można pragnąć głosu mieszczanina, chłopa i robotnika.

I w tym kierunku reformy wyborczej żądamy.

Żądamy równouprawnienia wszystkich warstw i stanów; przeciwstawiamy się i występujemy przeciw ograniczeniu praw jednej warstwy na korzyść drugiej. Równości chcemy i sprawiedliwości...

Ideałem sposobu wyborów do sejmu galicyjskiego jest dla nas czteroprzymiotnikowe prawo wyborcze: równość, tajność bezpośredniość i powszechność. Tego prawa wyborczego muszą żądać wszyscy, którzy pragną naprawdę zgody w kraju, bo jak długo podobnego prawa wyborczego niema, tak długo jest niezgoda i krzywda i niesprawiedliwość...

Wiemy niestety, że na takie prawo wyborcze wcale się nie zanosi. Jako na winowajców nie wskazujemy na nikogo: znają się wszyscy. Pod ich adresem chcemy tylko jedną uwagę wypowiedzieć: Odpowiecie kiedyś srogo za krzywdy warstw, któreście długo krzywdzili.

Wiedząc, że według wszelkich przypuszczeń czteroprzymiotnikowa reforma wyborcza do sejmu nie wkrótce jeszcze nastąpi, żądamy tymczasowo innej do czteroprzymiotnikowej jak najbardziej zbliżonej. Jaką ona będzie i jaką być powinna, nie chcemy o tem pisać, ani tego przesądzać, bo to do nas nie należy. Do nas należy tylko żądać, by do reformy na jaknajszerszych podstawach opartej, jak najprędzej przyszło...

Żądamy tego, póki czas na żądanie. Cierpliwość ludu robotniczego, włościańskiego i mieszczańskiego lada chwila może się wyczerpać. A wtedy żądanie stać się może łatwo groźbą zemsty.

Nim cierpliwość ludu się skończy, niech myślą o reformie wyborczej nasi politycy. Niech myślą ci, którym lud dał prawo decyzyi. Lecz niech myślą roztropnie i mądrze, pamiętając zawsze o tych krzywdzonych i na szarym stawianych końcu swoich rodakach o zczerniałych pracą rękach... *r-W.*

Śląsk i jego mieszkańcy.

przez A. C.

(Ciąg dalszy)

Chłop polski uciskany i wyzyskiwany, żył w pogardzie u czeskich i niemieckich księży. Łatwo też można odgadnąć i zrozumieć, że ruch rozpoczynający się w Czechach na początku piętnastego wieku, skierowany przeciwko kościołowi katolicko-urzędowemu, znalazł wśród chłopów polskich więcej zwolenników, aniżeli wśród Niemców. Czesi popadli wtenczas w herezyę, która stała się przyczyną wojen t. zw. husyckich.

Nazwa ta pochodzi od twórcy owej herezyi, Jana Husa, magistra Uniwersytetu praskiego. Studyował on bowiem gorliwie pisma teologa angielskiego Wiklefa i tak przypadły mu one do gustu i jego przekonań, że uczył nawet tych zasad, zabarwionych jeszcze swojemi przekonaniami, uczniów w Uniwersytecie praskim. Wystąpił również ostro przeciwko duchowieństwu, głosząc, że kościół nie powinien używać żadnych majątków ziemskich, lecz ma utrzymywać się z jałmużny wiernych. Sakrament Ołtarza ma być udzielanym wszystkim pod obiema postaciami: chleba i wina. Prócz tego chciał znieść bezżeństwo księży i zażądał zupełnej wolności kaznodziejstwa. Ponadto domagał się jeszcze zniesienia odpustów.

Nowinki te rozszerzały się bardzo szybko i wielką liczbę zwolenników pozyskały, a duchowieństwu katolickiemu przysporzyły wiele obawy. To też napominano zrazu Husa, by błędy swe odwołał, a gdy tego nie chciał uczynić, zawezwano go przed sobór powszechny, który właśnie odbywał się w Konstancyi, lecz Hus obawiał się wielkiej kary i nie poszedł za pierwszem wezwaniem, dopiero stawił się na sobór, kiedy otrzymał od Zygmunta Luksemburczyka glejt, zapewniający mu bezpieczeństwo i swobodny powrót do kraju. Nie pozwolono mu jednak na dokładną dysputę, osądzono go nawet na karę śmierci, a ponieważ Zygmunt Luks. nie wstawił się za nim, spotkała go śmierć na stosie.

Po jego śmierci rozszerzała się jeszcze więcej

NARZECZENI

ALEKSANDRA MANZONI'EGO

(z włoskiego spolszczył Szymon Maryan Chylaszek).

5

(Ciąg dalszy).

— Piętnaście dni! O, to prawdziwa nowość! Wszystko się zrobiło, co ksiądz chciał; oznaczyło się dzień — dzień nadszedł — a teraz mi śpiewa, żebym czekał piętnaście dni! Piętnaście!... — powtórzył Renzo głośniej i zapalczywiej i wyciągając rękę, machnął ręką w powietrzu i kto wie, jakich djabłów byłby dodał do tej liczby, gdyby ksiądz Abbondio nie był mu przerwał, chwytając go za drugą rękę z tkliwą czułością:

— Dajcie spokój, Renzo — łagodził go — nie unoście się na miłość boską! Będę widział, będę się starał za tydzień...

— A co Lucyi powiem?

— Że to była moja pomyłka.

— A plotki ludzkie?

— Ale, mówcie wszystkim, żem się pomylił przez nagłość, przez zbytnią dobroć; zwalcie całą winę na mnie. Czyż mogę mowić lepiej? Jeden tydzień.

— A potem, czy już nie będzie żadnych przeszkód?

— Jak wam mówię...

— A więc dobrze, będę czekał jeden tydzień, ale niech baczy, że po upływie tego, już się nie będę zadowalniał wywodami. Tymczasem moje uszanowanie. — To mówiąc oddalił się, czyniąc ukłon mniej głęboki, niż zwykle i rzucając wzrokiem na księdza Abbondio bardziej znaczacym, niż wyrażającym szacunek.

— Wyszedłszy od księdza Abbondio, podążył po raz pierwszy zniechęcony ku domowi narzeczonej. Rozmowa z księdzem Abbondio wydawała mu się, w miarę, jak się nad nią zastanawiał, coraz dziwniejszą i podejrzaną. To zimne i pełne zamieszania przyjęcie u niego, ta jego mowa przerywana i zarazem niecierpliwa, te dwoje siwych oczu, które równocześnie, gdy przemawiał, goniły po wszystkich stronach, jak gdyby nie chciały się spotkać ze słowami, które mu z ust wypadały, to traktowanie sprawy małżeńskiej, jakby jakiej nowości, ciągłe zaznaczanie czegoś nadzwyczajnego; wszystkie te okoliczności nasuwały mu podejrzenie, że tu musiała być zupełnie inna przyczyna, niżeli ta, którą ksiądz Abbondio starał się upozorować. Przystanął i namyślał się przez chwilę, czy wrócić się, aby go przycisnąć, jak to mówią, do muru i zmusić go do jasnego tłómaczenia się; ale podnosząc głowę, zobaczył Perpetuę, która właśnie dochodziła do ogródka, niedaleko plebanii położonego. Pobiegł szybciej ku niej i zatrzymał ją przy furtce. aby pomówić z nią i wydobyć z niej coś pozytywniejszego.

— Dzień dobry Perpetuo — spodziewałem się, że się dzisiaj będziemy wesoło bawili — niestety!

— Zrządzenie Boskie, mój biedny Renzo!

— Proszę was, ten poczciwiec ksiądz proboszcz odprawił mnie z takimi argumentami, których nie mogę zrozumieć; wytłómaczcie mi, dlaczego nie może, lub nie chce dać nam dzisiaj ślubu?

— Hm... zdaje wam się, że ja znam tajemnice mojego pana?!

— Perpetuo, jesteśmy przyjaciółmi, powiedzcie, co wiecie, domóżcie biednemu chłopcu.

— Oj, niedobra to rzecz urodzić się biednym, mój drogi Renzo.

— Prawda — odrzekł tenże, utwierdzając się coraz bardziej w swoich domysłach — prawda — powtórzył — ale czyż księża mają się dlatego źle obchodzić z biednymi?

— Słuchajcie Renzo, ja nie mogę nic mówić, ponieważ... nic nie wiem; ale o czem mogę was zapewnić, to jest, że mój pan i dobrodziej nikomu krzywdy nie robi i on temu nie winien.

— A któż jest winny? — zagadnął Renzo, jakby od niechcenia, ale z miną oczekującą i natężonym słuchem.

— Jak wam mówię, nic nie wiem... W obronie mego pana mogę mówić, gdyż nie znoszę tego, gdy ktoś go niesprawiedliwie posądza, żeby on przykrość komuś chciał wyrządzić. Biedak, jeżeli grzeszy, to przez zbytnią tylko swoją dobroć. Przecież na świecie dosyć mamy łajdaków, despotów, ludzi bez bojaźni Boga...

Łajdacy, despoci, myślał Renzo, to chyba nie są jego przełożeni.

— Proszę was — rzekł potem, tamując z trudnością coraz bardziej wzrastające wzruszenie — powiedzcie mi, kto to taki.

Ach, wybyście chcieli, bym wyznała, a ja nie mogę mówić, bo... nic nie wiem; jak mówię, że nic nie wiem, to tak, jak gdybym przysięgła, że będę milczeć. Możecie mnie dusić, ale ani słówka nie wydusicie. Do widzenia! Nie mam czasu do stracenia. — To mówiąc, weszła prędko do ogródka i zamknęła za sobą furtkę.

Renzo odpowiedziawszy jej ukłonem, odwrócił się i postępując zwolna, bez szelestu, żeby nie zwrócić na siebie uwagi Perpetuy, zdążał napowrót

herezya w miarę prześladowania jej zwolenników; przybrała ona ogromne rozmiary i dostała się wkrótce na Śląsk. Husytów w Czechach było wówczas więcej aniżeli samych katolików.

Husytyzm miał oprócz ruchu religijnego także charakter narodowy, a to z wielu powodów. Rodzima ludność czeska popadała w coraz to gorsze położenie materyalne i polityczne z powodu dynastyi niemieckiej Luksemburczyków. Dlatego w narodzie czeskim budziło się, choć powoli, poczucie narodowe, patryotyczne, a co następuje po tem nienawiść do jego gnębicieli, Niemców. Kiedy król czeski Zygmunt zabrał się energicznie do tępienia husytyzmu i do zupełnego zgermanizowania Czechów, gotujących się do walki z żywiołem niemieckim, wtedy Czesi oburzeni na Zygmunta, wypędzili go z kraju, a koronę czeską ofiarowali królowi polskiemu Jagielle, chcąc w ten sposób połączyć się z kwitnącem wtedy państwem polskiem i zwiększyć potęgę Słowiańszczyzny, aby módz stawić silny opór naporowi i dążeniom niemieckim. Czescy patryoci chcieli odrodzić swoją ojczyznę i pchnąć ją na inne tory, a zbawienie ich widzieli tylko w tym czynie, jeśli Czechy połączą się z Polską, gdzie była wielka swoboda i sprawiedliwość dla ciemiężonych. Na nieszczęście Jagiełło nieprzyjął ofiarowanej mu korony, a to tylko z powodu tej okoliczności, że się kierował polityką ówczesnego biskupa krakowskiego i senatu, którzy w tym kroku dopatrywali się wielkiego zgorszenia dla narodu polskiego. Z powodu więc przewlekania sprawy, nie dostała się Polsce korona czeska; powołano bowiem na tron tamtejszy Albrechta, zięcia Zygmunta Luksemburskiego. Tymczasem husyci zbroili się na wroga, bo wiedzieli, że musi kiedyś przyjść do starcia pomiędzy nimi, a ich przeciwnikami, jeżeli nie zaniechają głoszenia swych zasad.

Gdy w roku 1419 urządzili Husyci procesyę w Pradze, radni tego miasta chcieli ją zatrzymać w chwili, kiedy ta przechodziła koło ratusza; jeden z radnych rzucił w przechodzących kamieniem, a to postępowanie radnych tak oburzyło biorących udział w procesyi, że wszyscy razem rzucili się na ratusz i wyrzucili stamtąd radnych przez okna na bruk; dzwony kościelne zabrzmiały i swym potężnym głosem ściągnęły całą ludność Pragi, postawa zaś Husytów stała się teraz groźną dla katolików i duchowieństwa. Nie skończyło się na jednorazowej utarczce, lecz przyszło do wielkiej wojny, trwającej około 17 lat, od 1419 do 1436 r.

Zygmunt Luksemburski wyparty z Czech, schronił się na Śląsk, gdzie znalazł gościnne przyjęcie u książąt i mieszczaństwa niemieckiego. Tutaj czując się swobodniejszym, pomyślał o zbieraniu wojska przeciwko Czechom, lecz mu się to nie udało pomimo przychylności większej części książąt, ponieważ ci książęta nie żyli w zgodzie, knując wciąż spiski między sobą.

Po nieudanym zamiarze począł knuć spiski przeciw Polsce. Wszystkie jednak jego wysiłki około zdobycia tronu czeskiego i spiski, skierowane przeciwko Polsce, spełzły na niczem.

Husyci, poznawszy większą swą siłę i energię od Niemców, postanowili dać się im we znaki i w tym też celu zaczęli napadać na kraje niemieckie; nie pominęli oni także książąt śląskich, którzy trzymali z Zygmuntem.

Prawie przez 5 lat trwały najazdy husyckie na Śląsk, pustosząc go okropnie. W roku 1425 napadli oni na hrabstwo Kłodzkie, należące dawniej do Czech i złupili je doszczętnie. W dwa lata później najechali najpierw na Łużyce, a spustoszywszy je ogniem i mieczem, przeszli stamtąd na Śląsk, gdzie odnieśli zwycięstwo i zdobyli bogate łupy, co skłoniło ich do powtórnego i jeszcze większego najazdu na ziemię śląską.

Zimę w 1428 roku spędzili na Węgrzech, żeby żyć kosztem Zygmunta, a na początku wiosny przeszli na Morawy i przez księstwo opawskie dotarli aż do Śląska. Cały ten kraj, na lewym brzegu Odry, leżał im otworem bezbronny. Podszedłszy pod Głogówek, gdzie panował młodszy książę opolski, Bolko, zdobyli go, ów zaś musiał z nimi zawrzeć pokój. Uległy im jeszcze inne miasta, zanim stanęli pod Nysą, stolicą posiadłości biskupich, z którą to samo się stało, co z innemi miastami śląskiemi. Żeby wreszcie położyć tamę owym rabunkom, nie mającym żadnego politycznego celu, wdał się w tę sprawę Korybut, który z ramienia polskiego dzierżył chwilowo panowanie w Czechach, lecz ani dla siebie nic nie zrobił, ani napadów husyckich nie potrafił powstrzymać; najazdy te na Śląsk często się powtarzały z powodu udzielania pomocy Zygmuntowi przeciwko nim i wreszcie dla tego, że książęta Śląscy obchodzili się w okrutny sposób z jeńcami husyckimi. Zdawało się, że napadom ich głównie na Śląsk nie będzie końca. Lecz w roku 1433 zadano husytom po raz pierwszy klęskę na ziemi śląskiej, pod Niemczą. W rok później przyszło jeszcze raz do zaciętej wojny domowej, w której ostatecznie zwyciężyli pomyślnie katolicy i t. zw. umiarkowani Czesi. Sprawa husycka stała się obecnie przedmiotem dysput i roztrząsań na soborze bazylejskim, na którym uchwalono tak zwanę kompaktaty, na mocy których sobór zezwalał ludziom świeckim przyjmowanie komunii św. pod obiema postaciami, jednak pod warunkiem, że żadnych innych zmian w obrządku nie będzie.

W ten sposób załatwiona została sprawa religijna husycka. A co do kwestyi tronowych, postanowiono nie dopuścić do panowania czeskiego Zygmunta, starającego się oń bardzo, i ogłosić ten tron elekcyjnym, t. j., że Czesi obierać sobie będą króla za każdym razem wolnymi głosami na sejmie.

Po Zygmuncie dostał się tron czeski jego zięciowi Albrechtowi V., który równocześnie zasiadł i na tronie węgierskim. Nie długo żył Albrecht, po nim zaś nastało bezkrólewie, ponieważ syn jego Władysław Pogrobowiec, urodzony po śmierci swego ojca, był bardzo młody; w jego więc imieniu sprawował rządy czeskie Jerzy z Podjebradu. Podczas tego bezkrólewia, książęta śląscy rządzili się właściwie sami na swój sposób; nie mieli oni bowiem nad sobą żadnego prawdziwego zwierzchnika. Germanizacya ich zmieniła wówczas swój charakter. Przedtem niemczenie kraju odbywało się bez wrogiego zamiaru dla ludności słowiańskiej; była to kolonizacya ekonomiczna bez charakteru politycznego. Od czasu zaś walk husyckich rozpoczęto rozmyślne tępienie mowy słowiańskiej. Duchowieństwo katolicko-niemieckie z okrutną gorliwością temu dziełu przewodniczyło. Odbierało ono po miastach i wsiach książki polskie i czeskie, zakazywało kazań i śpiewów polskich, odmawiało nawet dawania ślubów małżeńskich nie umiejącym po niemiecku. Taki opłakany stan Śląska był po wojnie husyckiej.

Bezkrólewie czeskie starała się Polska wyzyskać dla zdobycia Śląska, lecz plany jej pokrzyżowali Turcy, którzy posuwali się zwycięsko od wschodu ku zachodowi. Wówczas panował na Węgrzech Władysław Warneńczyk, który powodowany polityką i obroną kościoła katolickiego, wyruszył na Turków, chcąc ich zaborczość w Europie ukrócić, lecz zginął pod Warną w 1444 roku. Dogodna sposobność odzyskania napowrót Śląska przepadła dla Polski i tylko raz jeszcze nadarzyła się jej ta okoliczność za panowania Władysława w Czechach, syna Kazimierza Jagiellończyka.

Podczas tego bezkrólewia czeskiego wychowywał się młody Władysław Pogrobowiec i zaledwie liczył 14 rok życia, gdy przyjął koronę czeską, a przez to i władzę nad Śląskiem.

Książęta śląscy, przyzwyczajeni nie mieć nad sobą zwierzchnika, odmówili mu hołdu. Władysław Pogrobowiec udał się do Wrocławia i tam musieli mu książęta złożyć hołd, a za karę zapłacili 15000 guldenów. Po jego śmierci rządził powtórnie w Czechach Jerzy Podjebradzki, a dopiero po nim nastąpił Władysław, syn Kazimierza Jagiellończyka, który koronował się na króla czeskiego w r. 1471. Dynastya Jagiellońska zasiadała teraz na tronie polskim, czeskim i nieco później także węgierskim i miała zwierzchnictwo nad Śląskiem. Prawie wszyscy książęta śląscy przyjęli Władysława z radością, tylko Wrocław nie chciał słyszeć o zwierzchnictwie polskiem nad sobą. Oglądali się oni na Macieja, króla węgierskiego, który też nie omieszkał zająć miasto Wrocław. Z powodu tego, że wichrzył na Śląsku i tylko dla siebie szukał korzyści, a z drugiej strony starał się zmniejszyć wpływy polskie na Śląsku i w Czechach, przyszło do wojny między nim a Polską i Czechami.

ZJAZD T. S. L.

Przyzwyczailiśmy się już do tego, że doroczne zjazdy największego polskiego Towarzystwa oświatowego. T. S. L., nie obejdą się nigdy bez hałasów. Od kilku lat obfitują te zjazdy w burzliwe epizody, które stale są wyrazem niezadowolenia, występującym z okazyi wyborów w T. S. L. na rok przeszły.

I w roku obecnym zjazd T. S. L. we Lwowie spokojnym nie był. Przyszło znowu do krzyków, gwizdów i awantur, które stanowczo nie powinny mieć miejsca na zjeździe towarzystwa oświatowego. Oświata bowiem nie od krzyku zależy, ale od pracy. A zwłaszcza T. S. L. ma wobec naszego społeczeństwa tyle zobowiązań i tyle roboty, że drogi czas trzechdniowych obrad dorocznych nie powinno marnować na krzyki i gwizdy.

Burzliwy przebieg tegorocznego zjazdu T. S. L. stanowczo potępiamy. Inna rzecz, że staramy się go zrozumieć, ocenić i usprawiedliwić. O ile o usprawiedliwienie go chodzi, to wiemy, że był on strasznym wyrazem gniewu i oburzenia, skierowanym przeciw naszej reprezentacyi poselskiej w Wiedniu z okazyi przemówienia jej prezesa i reprezentanta na zjeździe T. S. L.

Koło Polskie dla T. S. L., a tem samem dla oświaty polskiej w ubiegłym roku nic a nic nie zrobiło. Było jak zawsze pokorną służebnicą rządu. „Die Polen sind zur jeden Regierung zu haben“ mówią o nas wiedeńscy Niemcy, a my, chcąc godnie odpowiedzieć utartej o nas opinii, szliśmy za rządem. Wierni rządowi dbaliśmy o wszystko i wszystkich, tylko nie o siebie samych. A rezultat z tego jaki? Półmilionowy deficyt T. S. L.

Nic dziwnego, że wobec takiego traktowania spraw naszych przez Koło Polskie w Wiedniu, było ostatnie zebranie delegatów T. S. L. jednym ciągiem oskarżenia naszych posłów przed społeczeństwem. Gniew wybucha przecież nie tam, gdzie powinien wybuchnąć, ale tam, gdzie sposobność się nadarza, zwłaszcza, gdy jest długo tajonym i zażegnywanym.

Na tem miejscu trudno nam powstrzymać się od jednej uwagi z okazyi półmilionowego deficytu T. S. L. Ten deficyt świadczy przedewszystkiem o złej gospodarce Zarządu Towarzystwa. T. S. L. wie chyba, że na razie może liczyć tylko na ofiarność społeczeństwa, bo innych źródeł dochodu nie ma. A wszelka ofiarność, chociażby z głębi serca

---

na plebanię; skoro był już pewny, że go nie dosięgnie słuch poczciwej kobiety, rozpuścił kroki i w jednej chwili znalazł się u drzwi księdza Abbondio. Wszedł gorączkowo i udał się wprost do salonika, gdzie go pożegnał; zastał go siedzącego w krześle i ruchem śmiałym z wytrzeszczonemi oczami przyskoczył do niego.

— Eh, eh, co za nowość? — zapytał ksiądz Abbondio.

— Kto to jest ten despota — odezwał się Renzo głosem człowieka, który chce otrzymać odpowiedź stanowczą i dokładną — kto jest ten przemożny, co sobie nie życzy, żebym poślubił Lucyę?

— Co? co? co? — wyjąkał ksiądz Abbondio, zaskoczony tą nową wizytą Renza; i blady, jak chusta po wypraniu, pomrukując coś, zeskoczył z siedzenia i rzucił się ku drzwiom, aby ratować się ucieczką. Lecz Renzo, który już był na to przygotowany, uprzedził go i przekręciwszy klucz, schował go do kieszeni.

— Cha, cha! będzie teraz mówił ksiądz dobrodziej? Wszyscy z wyjątkiem mnie wiedzą, jak moja sprawa stoi! Chcę wiedzieć do krocset tysięcy... chcę wiedzieć i ja. Jak się nazywa ten ów?

— Renzo! Renzo! na miłość, zreflektujcie się, pamiętajcie o waszej duszy.

— Pamiętam, bo chcę się dowiedzieć zaraz, natychmiast. — To mówiąc sięgnął ręką, może mimowoli, do rękojeści puginału.

— Litości! — zawołał ksiądz Abbondio głosem zachrypłym.

— Chcę się dowiedzieć.

— Kto wam powiedział?...

— Nie, nie, bez żadnych wstępów! Proszę mówić jasno i zaraz!

— Chcecie mnie zgubić?

— Chcę wiedzieć to, co do mnie należy.

— Lecz jeżeli powiem, to śmierć moja. Czyż mnie nie ma obchodzić moje życie?

— Więc niech mówi!

To „więc“ było wyrzeczone z taką energią, twarz Renza przybrała wyraz tak groźny, że ksiądz Abbondio nie śmiał ani na chwilę być nieposłuszny.

— Czy mi przyrzekniecie, czy mi przysięgniecie, że nie będziecie się o tem z nikim rozgadywać, że nigdy nie powiecie?...

— Przyrzekam, że popełnię głupstwo, jeżeli mi dobrodziej nie powie zaraz nazwiska tego panka...

Na tę nową przysięgę ksiądz Abbondio z twarzą i wejrzeniem człowieka, który trzyma w ustach lewarek przy wyjmowaniu zęba, wyjęknął: — Don...

— Don? — powtórzył Renzo, jakby chciał pomódz pacyentowi wykrztusić resztę, nadstawiając ucha i zaciskając za sobą pięści.

— Don Rydrygo — wymówił spiesznie i przymusowo, bełkotając te parę sylab i połykając zgłoski, częścią ze strapienia, częścią z tej przyczyny, iż skupiał resztę uwagi dla pogodzenia tych dwóch fatalności; zdawało się, jakby chciał cofnąć i zatrzeć ślady tego słowa w tej samej chwili, kiedy je wymawiał.

— Ach, to pies! — zawył Renzo. — I jakże to zrobił? Co księdzu powiedział do?...

— Jaaak? jak? — odrzekł z urazą ksiądz Abbondio, który po takiem poświęceniu pełnem wyznaniu, czuł się do pewnego stopnia jego wierzycielem. — Jaak? — chciałbym, żeby was to spotkało, co mnie — a jestem przekonany, iż toby was z pewnością o utratę równowagi przyprowadziło. Tu zaczął w jaskrawych i strasznych kolorach opisywać swoje spotkanie; unaoczniając zaś sobie w toku opowiadania coraz bardziej swój wielki gniew, który go od początku ogarniał, a który przez cały czas przytłumiał strachem, z drugiej strony widząc, że Renzo między złością a upokorzeniem stał ze schyloną głową, prawił dalej nieco rozweselony: — Piękneście się spisali! Ładnąście usługę mi wyświadczyli! Coś podobnego mnie, duchownemu, waszemu proboszczowi! w jego domu! w świętem miejscu! Bochaterskiego czynu dokonaliście, wydobywając mi z ust moje nieszczęście, wasze nieszczęście! to, com przez roztropność taił przed wami dla waszego dobra! A teraz, skoro już wiecie, ciekawym, cobyście mi zrobili!... Na miłość boską! tu nie ma żartów. Nie rozchodzi się tu, kto ma słuszność, a kto niesłuszność, tu siła rozstrzyga. Gdy dzisiaj rano dawałem wam dobrą radę... eh — to wy zaraz w gniewy. Miałem ja rozum i dla siebie i dla was; no, ale co robić? Otwórzcie mi przynajmniej, dajcie mi mój klucz.

— Mogłem zbłądzić — odpowiedział Renzo głosem łagodniejszym, w którym jednak przebijała się wściekłość ku świeżemu wrogowi — mogłem zbłądzić, ale niech ksiądz położy rękę na sercu i pomyśli, czy na mojem miejscu...

— Tak mówiąc, wyjął klucz z kieszeni i szedł otworzyć. Ksiądz Abbondio postępował za nim i podczas, gdy tamten obracał klucz we drzwiach, zbliżył się ku niemu i podnosząc w górę przed jego oczami trzy palce prawej ręki, jakby mu sam chciał przyjść w pomoc: — Przysięgnijcie przynajmniej!... — zawołał uroczyście z wyrazem trwogi.

(C. d. n.)

płynęła, jest rzeczą niestałą. Jak długo nie ma stałej subwencyi rządu i jak długo założone już szkoły nie są upaństwowione, tak długo nie można prowadzić akcyi na szerszą skalę zakreślonej. Nie można, bo inaczej grozi półmilionowy deficyt, który niewiadomo skąd pokryć...

To T. S. L. winno zrozumieć. Posłowie nasi o oświacie ludowej zapomnieli i w tem ich wina; wina T. S. L. w tem, że wiedząc o tem, lub przynajmniej przeczuwając to, nie ograniczyło swoich wydatków, choćby one na jak najdroższy dla nas cel iść miały...

To rada na przyszłość. Tymczasem deficyt pokryć będzie trzeba. To jest naszym najświętszym obowiązkiem. Umią składać pieniądze na swoje narodowe cele Czesi i Niemcy, musimy potrafić to samo i my.

Pamiętejmy tylko o jednej rzeczy: Zbieranie składek na T. S. L. jest obowiązkiem naszego honoru narodowego. W tym wypadku musimy się wszyscy złączyć i deficyt pokryć.

OD REDAKCYI.

Ulegając objawionym z kilku stron życzeniom ze strony P. T. Czytelników „Pochodni“, umieszczamy w dzisiejszym numerze po raz pierwszy rubrykę „Esperanto“. Na przyszłość będziemy podawali w tej rubryce artykuły o kwestyi pomocniczego języka międzynarodowego, a może także, o ile Czytelnicy zażądają, będziemy umieszczać w każdym numerze lekcyę Esperanta. Rubrykę „Esperanto“ prowadził będzie w naszem piśmie jeden ze znanych esperantystów krakowskich, publicysta i literat p. L. Kronenberg, redaktor „Biblioteki dla propagandy Esperanta w Polsce“. Esperantystów prosimy o popieranie naszego pisma i o rozszerzanie go w gronie swoich przyjaciół i znajomych.

Czytelników i Przyjaciół „Pochodni“ poza Krakowem prosimy o nadsyłanie korespondencyi. — O bliższe warunki prosimy porozumieć się z nami.

Kilka słów do Czytelników

w sprawie esperanta.

Różne są zapatrywania pojedynczych osób, stowarzyszeń i społeczeństw na kwestyę pomocniczego języka międzynarodowego. Stosownie do znajomości tej kwestyi wyrokują jedni, iż Esperanto jest rzeczą możliwą i że wcześniej, czy później, zwycięży; — drudzy, że wogóle idea języka międzynarodowego jest niemożliwą i niewykonalną i że przeto Esperanto nie ma żadnych widoków powodzenia. Zostawiając na razie na boku, która z przytoczonych opinii ma słuszność, zastanówmy się pokrótce, jakie znaczenie posiada sama w sobie idea pomocniczego języka międzynarodowego dla naszego społeczeństwa, dla naszej rodzimej kultury, dla naszej narodowej przyszłości.

Wiemy aż nadto dobrze, że naród nasz, mimo swych olbrzymich zasług, jakie dla cywilizacyi ogólnoludzkiej położył, mimo tylu sławnych mężów, których z łona swego wydał, mimo morza krwi polskiej, przelanej na polach Wiednia, Rusi Czerwonej i Lignicy w obronie kultury europejskiej, jest przecież stale na szarym stawiany końcu. Nie tylko, że odebrano nam przemocą niezawisły byt polityczny, nie tylko, że pozbawiono nas najświętszego prawa stanowienia o swoim losie, lecz chcą nam odebrać to, co było, jest i będzie naszą narodową dumą, to, co nas równoważyło z innymi narodami w dziedzinie ducha, a nawet czasem przewagę nam dawało. Chcą nam odebrać nie tylko Koperników lub Stwoszów, ale chcą nam wziąć cały nasz dorobek kulturalny, chcą nas w sposób cichy a powolny, pozbawić resztek naszego narodowego znaczenia. Idźcie rodacy w którąbolwiek część świata, idźcie do któregokolwiek chcecie kraju i narodu, a spotkacie wszędzie Polaków mówiących czy to językiem niemieckim, czy angielskim, czy włoskim, czy francuskim lub hiszpańskim, lecz nigdzie nie spotkacie Niemca, czy Anglika, czy Włocha, czy Francuza lub Hiszpana, mówiącego po polsku. Wszędzie zobaczycie, że Polak, jadąc zagranicę, jakby się wstydził, że jest Polakiem, — wszędzie zobaczycie pokornych swoich współziomków, silących się myśl swoją w obcym dla siebie języku jako tako wypowiedzieć. I spytajcie Niemca, Anglika lub Francuza, dlaczego oni, przyjeżdżając do Polski, nie uczą się języka polskiego, tak, jak my to czynimy z ich językami, jadąc do ich krajów, a wzruszą wam zapewne ramionami, uśmiechną się z waszej naiwności, i zapytają: A po co?

I w tem krótkiem pytaniu, tak dla nas bolesnem, tkwi sedno sprawy. Język polski, język dwudziestomilionowego narodu, nie znaczy dla zagranicy nic; dźwięczna i płomienna mowa Skargi, Mickiewicza, Słowackiego i Wyspiańskiego, jest dla zagranicy zerem. Boć przecież musi być ona niczem, skoro znając tylko ją, nie można nawet o kilkadziesiąt kilometrów oddalić się poza swoje ojczyste pielesze, skoro znając tylko ją, można w tak wysoko kulturnych miastach zachodniej Europy zostać co najwyżej — wyśmianym.

— Przyjechał pan do Paryża i nie zna pan języka francuskiego? Przybył pan do Berlina, znając tylko język polski? Chce pan rozmówić się w Londynie, nie władając językiem angielskim?

Prawda, czytelniku, co za logika bije z tych zapytań! Lecz czemuż mniej logicznem wydaje ci się pytanie: „Przyjechał pan do Krakowa, serca Polski i nie zna pan języka polskiego“, lub „Przybył pan do Warszawy i zna pan tylko język angielski?“

Czemuż wiesz tak dobrze, że znając język tylko polski, można choćby w Paryżu, stolicy tych, za których przelewaliśmy krew we wszystkich częściach świata — kromki chleba do ust nie dostać i że naodwrót, znając tylko język francuski, musi się być choćby w zapadłym Berdyczowie polskim przedewszystkiem zrozumianym, a następnie podziwianym i szanowanym?

Odpowiesz może, że tak ułożyły się stosunki polityczne, narodowe i społeczne; wspomnisz może, że trudno jest Francuzowi, Niemcowi lub Anglikowi, jądącemu w kraje słowiańskie, uczyć się trudnych dlań języków polskiego, czeskiego, lub ruskiego?

Lecz czy Czechom, Polakom lub Rusinom, język francuski, niemiecki lub angielski nie jest tak samo trudny? A przecież te wszystkie narody ich języków uczyć się muszą, podczas gdy Francuzi, Niemcy lub Anglicy nie czynią tego choćby pozornie dla prostej grzeczności.

O! Nie o grzeczności międzynarodowej nam Polakom mówić! Niewolny niech nie wspomina nawet o tem, coby mu się od ludzi szlachetnie postępujących należało, gdyż w przeciwoym razie nałożone nań kajdany jeszcze cięższemi i nieznośniejszemi wydawać się będą. Niewolny niech raczej wszystkie myśli skupia, wszelkie moce zbiera. ramię do ramienia składa, postępując mądrze i przezornie, jak to jego wrogowie zwykli są czynić.

Pawiem narodów byliśmy i papugą. Powiedzmy to sobie szczerze, dodając, że jeszcze tem jesteśmy. Jesteśmy tem, gdyż ciągle jeszcze szukamy błyskotek, zamiast rzeczy poważnych, gdyż ciągle jeszcze ekonomicznie się rządzić i ekonomicznie postępować nie potrafimy, gdyż ciągle zajmują nas nie sprawy, które świat podbiły, ale szarzyzna małomiasteczkowego błota i apatyi. Nie umiemy być stanowczymi i to nas gnębi. Gdybyśmy zażądali stanowczo od przybywających do nas ludzi poszanowania naszego języka, naszej kultury i naszej świetlanej przeszłości dziejowej, i gdybyśmy siebie zagranicy godnie przedstawić potrafili, byłoby inaczej, zupełnie inaczej.

Są dwa rodzaje, dwa gatunki narodów na świecie: gatunek narodów uprzywilejowanych i gatunek narodów pozbawionych przywilejów. Do pierwszych wiemy, że należą Niemcy, Francuzi, Włosi, Hiszpanie, Anglicy; do drugich przynależność odczuwamy na każdym kroku nawspół z Rusinami, Czechami, Węgrami, Słoweńcami, Serbami i dziesiątkami innych narodów.

I idąc dalej, wiemy aż nadto dobrze, że główną przyczyną, która nas gnębi, niszczy i stale na szary koniec usuwa, jest kwestya językowa. Wiemy dobrze, że arcydzieł naszych geniuszów żaden obcy naród nie studyuje w języku polskim, jeżeli wogóle je studyuje, podczas gdy my ileż to czasu poświęcamy na zapoznanie się z arcydziełami obcych nie w przekładzie, lecz w oryginale!

A w ten sposób nasza rodzima kultura niknie; pomija ją Niemiec, zapomina o niej nawet bratni Francuz, nie troszczy się o nią Anglik; słowem staje się ona upośledzonym kopciuszkiem, który tylko z trudnością przy życiu utrzymać się może.

Czas nam resztki swoich własności ratować. Czas starać się przynajmniej o władztwo w dziedziedzinie ducha, gdy władztwo w dziedzinie wpływów politycznych zabrał nieprzyjaciel. Czas okazać całemu światu, że kultura polska żyje, że naród nasz rośnie i potężnieje, i żeśmy godni lepszego bytu i traktowania nas ze strony obcych. Czas także okazać, że nasza papuziowatość już minęła, że umiemy być ludźmi praktycznie myślącymi i ekonomicznie działającymi.

Uczynić zaś to możemy przez jedną, jedyną rzecz, która sprawiedliwie najważniejszą kwestyę międzynarodową, bo kwestyę językową załatwia.

Rzeczą tą genialny twór naszego rodaka, dr. L. Zamenhofa z Warszawy: pomocniczy język międzynarodowy Esperanto. Idzie on w świat nadewszystko tam, gdzie tylko są ludzie językowo krzywdzeni, idzie do uciśnionych i dręczonych, do tych najbiedniejszych i wydziedziczonych, idzie i otuchę w serca im niesie.

Krzywdy językowe Esperanto znosi. Niech Polak nie uczy się języka francuskiego. — mówi on — bo Francuz polskiego języka się nie uczy. Niech Polak nie będzie paziem narodów, ale niech się stanie mężem myślącym i logicznym. Czyż bowiem zamiast się uczyć kilku języków z ogromnym nakładem czasu, pieniędzy i pamięci, nie lepiejby się było uczyć tylko jednego języka? Czyżby nie było praktyczniej, a przytem szlachetniej, znać tylko dwa języki: narodowy dla porozumienia się ze swoim narodem, i międzynarodowy dla porozumienia się z innymi narodami?

Innemi słowy, Polak rozmawiając z Polakiem używałby języka polskiego; rozmawiając z Niemcem, Francuzem, Anglikiem, Hiszpanem, czy Japończykiem, — Esperanta.

Zniknęłaby nierówność i krzywda językowa. Przywileje językowe pewnych narodów poszłyby w kąt; miejsce ich zajęłaby prawdziwie międzynarodowa i kulturalna sprawiedliwość, bo każdy naród uczułby swoje równouprawnienie z drugim.

I nie byłby odtąd Polak gorszy od Niemca, albo od Francuza lub Hiszpana, ani też polska kultura narodowa nie znaczyłaby mniej od kultury francuskiej lub hiszpańskiej. Na neutralnym gruncie językowym utworzyłaby ludzkość jedno koło rodzinne, którego ogniwami byłyby poszczególne narody.

Zapytajcie esperantystów wam znajomych, czy podróżując po obcych krajach, nie odnieśli więcej usług z Esperanta, niż z języka francuskiego, niemieckiego i angielskiego, razem wziętych? Zapytajcie ich także, czy przy pomocy wyłącznie tegoż języka nie pozostają oni w bliższym kontakcie z całym światem, niż Wy, którzy znacie chociażby pięć innych języków.

Zapytajcie ich także, jak długo uczyli się Esperanta, by nabrać zupełnej biegłości w tym języku, a gdy się zgoła bez żadnej przesady dowiecie od nich, że nie zeszedł im na tem ani kwartał, kupcie podręcznik Esperanta i uczcie się, uczcie jak najpilniej.

Uczcie się Esperanta, rodacy, a spełnicie czyn obywatelski, czyn patryotyczny. Dużo nam rzeczy zabraniają zaborcze rządy, ale nauki Esperanta przecież nam nie zabronią. i w tem może leżeć nasze zwycięstwo; w tem, że przy pomocy Esperanta równouprawnienie najpierw językowe, a później i pod każdym innym względem z konieczności otrzymamy.

Czy wiecie, że jest kilka arcydzieł naszej literatury przełożonych nawet na język japoński? I czy wiecie, że przekłady te dokonane zostały jedynie przy pomocy Esperanta? I czy wiecie także, że największej przekładów na esperanto, to z literatury naszej, z Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego, Orzeszkowej? I czy wiecie, że jedynie dzięki Esperantu świat zaczyna nabierać prawdziwego przekonania o sile żywotnej naszego narodu, o dzielności Polski, która takich mistrzów, jak Kopernik, Stwosz lub Zamenhof wydaje?

Uczcie się Esperanta rodacy, bo w nim przyszłość nasza i broń nasza. Broń na zachłanność szowinistów niemieckich i na głupotę czarnosecińców rosyjskich. Wcześniej, czy później ciemnota przed słońcem wiedzy ustąpić musi.

Uczcie się Esperanta! Uczcie się go, pracując dla lepszej doli synów waszych; uczcie się go, myśląc o kulturze rodzimej i o postępie duchowym całej ludzkości. Niech nikt z was nie zaniedba dorzucić choćby jednej cegiełki pod budowę olbrzymiego gmachu, który ludzkość odwieczną swą pracą mozolnie buduje.

Niech nikt z Was nie śpi wtedy, gdy na świecie całym największy przewrót w życiu kulturalnem ludzkości wskutek pomocniczego języka międzynarodowego się dokonywa; niech nikt z was nie śpi wtedy, kiedy czuwać i działać należy.

Leopold Kronenberg.

TADEUSZ ROGOZINSKI.

Jak wtedy...

Czarowna noc czerwcowa...

Leciuchny wietrzyk tchnął ożywczą, upojoną wonią świeżo skoszonych łąk. Srebrzyste kaskady księżycowego światła zalewały ziemię, zmieniając jej mglistą powierzchnię, niby w jakąś taflę nieskończenie spokojnego, pełnego czarów jeziora. Na tem tle srebrzystem, rozpływającem się gdzieś w tajemniczej dali, odcinały się tu i ówdzie niewyraźne kontury drzew, tworząc jakieś postacie tajemnicze, niby z baśni odwiecznej boginie.

Cisza była w naturze, przerywana od czasu do czasu lekkim jedwabnym szelestem skrzydeł nietoperza, lub przenikliwym urywanym krzykiem czajki...

W tem ozwał się cichy nieśmiały trel słowiczy i zgasł zaraz, jakby własnym echem spłoszony, zgasł. by za chwilę rozebrzmieć na nowo całą gamą uroczych trelów miłosnych. Całkiem jak wtedy...

. . . .

I jak wtedy westchnienie wymknęło mu się z piersi, lekkie, cichutkie niby wiatru powiew silniejszy, niby nieco głośniejszy szelest skrzydeł ptasich i zcichło zaraz zagłuszone nowym trelem słowiczym... jak wtedy...

. . . .

Opanowały go wspomnienia.

Przed oczy nasunął się obraz szczęścia minionego jak sen jaki złudny, jak tęczowa bańka mydlana.

. . . .

Było ich dwoje.

I taka sama noc czarowna i taka sama gdzieś z głębi ciemnych ogrodów dolatująca pieśń słowicza, tęskna, upojna, urywana, milknąca co chwilę i co chwilę rozbrzmiewająca coraz słodszem, coraz pieszczotliwszem brzmieniem.

I snuli uroczą przędzę marzeń nieziszczalnych, nadziei złocistych i byli sami, sami, sami.

A drobne słodziutkie listeczki szeptały im jakąś zaklętą tajemnicę nieuchwytnego szczęścia, nuciły jakiś hymn miłosny, a cicho, cichutko, tak, że ledwie głusząc lekki szmer pocałunków; i tak tajemniczo jakby bojąc się spłoszyć tą cudną może jedyną w ich życiu chwilę... A złote oczy gwiazd, patrzyły na nich z góry tak dobrze... tak dobrze, że zda się dusze z nich chciały wypatrzeć i unieść w przestworza, gdzie już niema zawodów i trosk.

Krótki, przecudny sen nocy letniej.

. . . .

I oto znowu spoglądają z góry migotliwe, rozkochane gwiazd oczy, znowu słowik zawodzi swą piosnkę tęskniącą, i woń świeżo skoszonych traw, płynie z wietrzykiem, słodka, upojna, marząca, jak wtedy...

. . . .

Tylko rozkołysany dzwon serca nie znajduje wtóru drugiej, bliskiej, kochającej piersi, tylko rozpalone spragnione pocałunków wargi nie napotykają ust drogich płonących, tylko stęsknione ramiona obejmują wciąż próżnię i opadają bezwiednie, bezwolnie, zawodnie.

. . . .

A z ciemnej głębi ogrodów dolatuje wciąż tkliwa, rozkochana piosnka słowicza...

. . . .

Nagle błysk jakiś złota zmieszał się ze srebrzystą przędzą księżycowego światła, jakiś krótki suchy huk rozdarł powietrze, odbił się echem, załopotał w powietrzu i z dziwnym rozpacznym jękiem skonał gdzieś w tajemniczej dali...

. . . .

Cisza...

Aż drobne młode listki zaczęły nucić znowu pieśń żalu, i powierzać sobie niezrozumiałą tajemnicę nieuchwytnego szczęścia.

A spłoszony na chwilę śpiewak nocny rozdzwonił się na nowo całą gamą uroczych trelów miłosnych... jak wtedy...

. . . .

PAUL DE LENGYEL.

FATALNA PRZYGODA.

Baron Lumpowski wszedł do składu porcelany, by zakupić jakiś podarunek dla swojej „ukochanej“ teściowej, z okazji jej jutrzejszych imienin

W składzie zastał właściciela w bardzo kiepskim humorze.

— Cóż się to stało, majsterku? Jesteście tak gniewliwi...

— Tak, panie baronie: służący stłukł drogocenny wazon kwiatowy, co dopiero otrzymany, wartości 500 koron. Oto tam leżą jego szczątki; przypatrz się pan im i osądź sam, czy nie mam powodu do gniewu.

Baron Lumpowski długo oglądał potłuczone kawałki. gdy nagle djabelska myśl przyszla mu do głowy.

— Panie, kupuję te kawałki. Powiedz pan cenę.

— Niech pan nie drwi, mości baronie. Na coby się zdały komu te szczątki, czekające na miotłę?

— Niech pana o przyczynę głowa nie boli — odrzekł baron pewnym głosem. — Ja koniecznie chcę je nabyć,

— Dobrze, — zapłaci pan za nie pięć koron.

Baron Lumpowski zapłacił. Potem rzekł do właściciela:

*(Charakterystyczna rzecz, że autor, który jest Węgrem, to nazwisko nadał bochaterowi swej humoreski.

Przyp. tłóm.

— Zechciej pan zapakować kawałki do drewnianej skrzynki. Jutro rano przyjdzie do składu mój lokaj i paczkę odbierze.

— Według życzenia, panie baronie.

— Baron odszedł. Przybywszy do domu, polecił lokajowi przynieść jutro rano paczkę, nie zapomniawszy jednakże dodać, że w chwili, gdy będzie z nią wchodził do salonu, ma „przypadkpwo“ poślizgnąć się i skrzynkę upuścić na ziemię.

— No, myślał baron — z imieninowym podarkiem zręcznie się urządziłem.

Nazajutrz wszystko stało się według rozporządzenia barona. Lokaj odegrał przepisaną komedyę, jakby urodzony aktor; wchodząc do salonu, gdzie zebrali się goście i solenizantka, upuśbił paczkę na ziemię... Dał się słyszeć stłumiony brzęk tłuczonej porcelany.

Bezpośrednio ponim nastąpiły okrzyki boleści teściowej i złożeczenia barona.

Po chwili baron Lumpowski, ciesząc się w duszy z udałego „kawału“ otworzył skrzynkę. Zobaczywszy jej zawartość, omal nie omdlał ze wzruszenia; skonstantował bowiem ze zgrozą, że usłużny kupiec obwinął każdy kawałek porcelany w osobny papier.

Z Esperanta przedłożył
L. Kronenberg.

Szan. Czytelniku! Przez roczne zaprenumerowanie „Pochodni“ odniesiesz tak znaczną korzyść, że Ci się prenumerata 10-ciokrotnie zwróci, albowiem kupcy i przemysłowcy, u których „Pochodnia“ znalazła życzliwe przyjęcie, oświadczyli nam, że za okazaniem kwitu abonamentowego udzielać będą nadzwyczajnej zniżki, poniżej cen konkurencyjnych przy zakupnie wszelkich towarów! My zaś ze swej strony nie omieszkamy naszych rocznych prenumeratorów obdarzyć cennymi podarkami,

Tych wszystkich, którzy zamówili „Pochodnię“ a nie otrzymali pierwszego numeru bardzo przepraszamy, gdyż musiała zajść nie z naszej jednak winy, pomyłka; z ochotą przeto nadeślemy drugi egzemplarz.

Z poważaniem
Redakcya „Pochodni“.
Adres: Kraków, ul. Sławkowska 6.

Z KRONIKI TYGODNIOWEJ.

„Wojna! wojna! nie było w Austryi kąta ziemi“... Rozpoczynam swoją kronikę pod znakiem wojny.

Wprawdzie wojny jeszcze niema, ale wieść o niej już od dłuższego czasu obiega po wszystkich krajach monarchii Austro-węgierskiej urabiając opinię publiczną, tak jak sobie tego życzą c. k. wyższe władze we Wiedniu. Bo oto rzecz dziwna, jedynem państwem mogącem mieć interes z tej wojny jest Austrya, a wiadomość o tem dochodzi do społeczeństwa dopiero przez Paryż i Londyn, a to tak bardzo interesowana w tym wypadku Austrya ciągle jeszcze opowiada o chęci utrzymania pokoju o nieszczęśliwym z biegu okoliczności i t. p.

Zaiste podziwu godna bezinteresowność, zwłaszcza gdy się zważy niedawno przebrzmiałą aneksyę Bośni i Herzegowiny, która poprostu zmusza Austryę do dalszej akcyi na Bałkanach. A państwa bałkańskie zbroją się, mobilizują swe armie, wystosowując noty, nie przeczuwając nawet, że nie dla siebie wyciągają kasztany z ognia, że większe niebezpieczeństwo grozi im od północy niż ze strony słabej dezorganizowanej Turcyi, że mocarstwo, które potrafiło utrzymać w groźnej na zewnątrz całości zlepek rozmaitych ludów, potrafi kiedyś i nimi zawładnąć i wynaleźć w stosownej chwili jakąś kwestyę serbsko-bułgarską czy inną temu podobną dla ułatwienia sobie akcyi, jak wynalazło i stworzyło nam kwestyę czesko-niemiecką i polsko-ruską.

A Rosya?...

Rosya odgrywa bardzo poważną rolę straszaka, aby tym pewniej wpoić w obywateli austryackich konieczność zbrojeń i przygotowań do wojny, której uniknąć nie można? pomimo najusilniejszych starań.

Nic więc dziwnego, że urzędowe i półurzędowe „...blatty“ wiedeńskie trąbią na około pobudkę wojenną, a za niemi powtarzają te niepokojące wieści wszystkie dzienniki austryackie, a więc i galicyjskie.

To też widmo konieczności wojennej przybiera coraz realniejsze kształty co nieprzeszkadza, wyobraźni ludowej zabarwiać go na swój sposób i rozszerzać do niebywałych rozmiarów.

I oto nasi wielcy i mali politycy, rozprawiają, dyskutują, staczają walne bitwy, odnoszą zwycięcięstwa, dzielą się Turcyą, wszystko naturalnie w fantazyi, a żaden nie zastanawia się nad tem, że spełnia tylko rolę dobrze nakręconej przez Wiedeń maszynki mającej ułatwić nowy dyplomatyczny manewr sięgający po nasze pieniądze i naszą krew dla sprawy nam zasadniczo obcej.

A manewr ten jest przeprowadzony, bardzo zręcznie, bo chociaż posiada swą nieubłaganą logiczną konsenkwencyę, jest prawie niedostrzegalny.

To też nic dziwnego, że wszystkie nasze sprawy narodowe ba... nawet lokalne przycichają wobec jednego złowróżbnego echa Wojna!

Nawet słynna podróż ministrów po Galicyi i nasze nieśmiertelne, a raczej nie mogące się narodzić kanały straciły dla społeczeństwa swą aktualną wartość.

A kwestya sporu dr. Leo z przedstawicielami Tow. Szkoły Lndowej zginęłą w ogólnej wrzawie tak, jak dźwięk stłuczonego kieliszka wśród huku dział.

Ale nie uprzedzajmy faktów i czekajmy cierpliwie końca.

O los swój możemy być spokojni: nasze Koło polskie udowodniło nam już tyle razy, że prócz nazwy nic polskiego w sobie niema, że i tym razem z pewnością nas nie zawiedzie i postąpi tak, jak tego będą wymagały interesa Vaterlandu, zwłaszcza, gdy szanowni nasi przedstawiciele ujrzą wyłaniające się z chmur zamieszek politycznych, gwiazdy i krzyże, bo rząd, gdy ich będzie potrzebował wie czem najłatwiej kupić polską duszę i z pewnością orderów nie poskąpi.

Przecież to tak tanio kosztuje.

A nasze społeczeństwo też spełni swój obowiązek, i będzie gadało, gadało, gadało, a gdy przyjdzie stosowna chwila, grosz ostatni wydusi, skrzywi się i da, czego od niego zażądaja, a potem, potem chwyci za broń i wyruszy bronić swej przybranej ojczyzny.

I oto stanęła nam przed oczyma katastrofa, katastrofa, której uniknąć nam niepodobna, na którą niema ratunku.

Chyba, gdyby to pomódz mogło, wnieść pobożne śpiewy:

„Od powietrza, głodu, ognia i od takiej wojny zachowaj nas Panie“.

Chciałbym być fałszywym prorokiem, chciałbym, by moje przeczucia nie ziściły się nie tylko teraz, ale w ogóle nigdy. Daj Boże. Zresztą zanadto przejąłem się w swej kronice polityką ze szkodą innych wypadków, ale mogę się wytłómczyć tem, że gorączka wojenna i mnie na swój sposób owładnęła, i że kronika moja jest wyrazem tego, co nas wszystkich najbarpziej przejmuje i boli.

Kazimierz H.

Ze świata.

Niebezpieczny pocałunek. P. Winston Churchill, minister marynarki angielskiej, odbył niedawno temu podróż po Irlandyi. Miedzy innemi zwiedził on sławną skałę Blanney-Stone, znajdującą się w pobliżu miasta Cork. Skała ta wznosi się nad przepaścią o zupełnie prostopadłej ścianie. To też turyści, cierpiący na zawrót głowy nie zbliżają się zbytnio do brzegu Blanney-Stone. Podanie miejscowe twierdzi jednak, że śmiałkowie, którzy odważą się złożyć pocałunek na niebezpiecznej ścianie, obdarzeni zostaną darem najbardziej czarującej, przekonywającej wymowy.

P. Churchill był snać zdania, że dla ministra jest to rzeczą bardzo ważną i odważył się na niebezpieczną próbę. Rozciągnąwszy się na całą swą ministeryalną długość na Blanney-Stone przechylił głowę ponad krawędź przepaści i złożył pocałunek w stosownem miejscu. Trzeba dla ścisłości dodać, że podczas ceremonii, czterech dziarskich przewodników trzymało p. ministra za nogi.

Zawieszenie broni na Samosie. Z Konstantynopola „Biuro korespondencyjne“ telegrafuje: Pomiędzy powstańcami a wojskami tureckiemi na wyspie Samos zawarto 6-dniowe zawieczenie broni. Komendant francuskiego krążownika „Bruix“ wezwał do siebie przywódcę powstańców Sopliulisa i przyrzekł mu, że żądania powstańców będą jaknajrychlej spełnione, jeżeli tylko powstańcy złożą broń. „Tanin“ twierdzi, że oddział marynarzy francuskich rozbroił żołnierzy tureckich na wyspie Samos. Porta udzieliła władzom na Samosie nagany za zawarcie zawieszenia broni z powstańcami za poradą Anglii i Francyi.

Strajk kolejowy w Hiszpanii. Z Barcelony kominikują, że liczba strajkujących kolejarzy powiększyła się znacznie.

Goście pruscy na ziemi austryackiej. Książę biskup wrocławski, kardynał Kopp, będący zarazem zwierzchnikiem duchownym pewnej części Śląska austryackiego, zwłaszcza cieszyńskiego, posiada w okręgu opawskim olbrzymie dobra i zamek Johannesberg. W zamku tym gości on obecnie pruskiego następcę tronu i jego małżonkę. Jak donoszą z Opawy para książęca bierze tam udział w polowaniach, urządzonych w lasach biskupich.

Śmierć w górach. Z Füssen donoszą: Socyalnodemokratyczny poseł Rollnagen z Hamburga podczas wycieczki w Alpach, spadł w przepaść i zabił się na miejscu.

Burmistrz-hakatysta. Burmistrz poznański Wilms, który nietylko stoi na czele miasta ze znacznie przeważającą ludnością katolicką, lecz i sam jest katolikiem, wziął udział w zebraniu powitalnem odbywającego się w Poznaniu zjazdu Tow. Gustawa Adolfa. Towarzystwo to utworzono wprost do walki z katolicyzmem i ten swój charakter bojowo-przeciwkatolicki objawia ono na każdym kroku. Wilms w imieniu Poznania witał zebranych bardzo gorąco, wygłaszając hymn pochwalny dla idei, reprezentowanej w Tow. Gustawa Adolfa.

Zapis dla sufrażystek. W Londynie zmarła miss Wilson, która zapisała Stow. Sufrażystek 250.000 Kor. na cele agitacyi.

Wojowniczy obrońca. W sądzie powiatowym we Lwowie przy ul. Jagiellońskiej podczas rozprawy, prowadzonej przez radcę Tretiaka, młody obrońca Dr. Auerbach, wywołał ogromną awanturę. Oto, rozdrażniony niekorzystnemi dla swojego klienta zeznaniami, złożonemi przez lekarza Dra Penziasa, wszczął z nim sprzeczkę, w czem i Dr. Penzias nie pozostał naturalnie dłużnym. Po wyjściu z sali rozpraw Dr. A. dalej obrzucał Dr. P. obelgami, a gdy Dr. P. na to reagował, Dr. Auerbach uderzył lekarza w twarz. Powstała bójka, podczas której krewki obrońca uderzył Dr. Penziasa parasolem w twarz tak silnie, że krew go oblała. Wtedy rozbrojono walczących, a z Dr. Penziasem spisał lekarz sądowy „visum repertum“. Podczas bójki zbito w korytarzu szybę.

ALEKSANDER ŁUKIEWICZ.

OSKARŻAM.

FRAGMENTY ZE SMUTNEGO PAMIĘTNIKA.

Kilka słów od autora.

Urywki niniejsze doszły rąk moich jako fragmenty pamiętnika człowieka, który życie swoje poświęcił dla pracy nad polepszeniem doli uciśnionych i krzywdzonych — i doli ich nie poprawił.

Nie jego to wina — lecz wina społeczeństwa, wina tych, którzy stoją u steru i trzymają ręce na sercu organizmu społecznego — wina kościoła — wina nauki, wina wreszcie każdego z nas. Któż bowiem z nas jest bez winy?

Żyjemy w okresie całkowitego upadku morału rozprzężenia wszelkich wartości. Staramy się życie urządzić sobie jak najwygodniej i wyciągnąć zeń jak największą sumę rozkoszy — mniejsza o sposób i drogę, jaką do celu dojdziemy, byle tylko zachować pozory legalności.

Nic też dziwnego, iż nędza, upodlenie i brudny wyzysk kwitną w społeczeństwie, które mieni się chrześciańskiem. Mimo woli nasuwają się uwagi Spinozy, pomieszczone w przedmowie do Traktatu teogiczno-politycznego, w których dziwił się, iż ludzie, szczycący się, że wyznają religię chrześciańską, a więc religię miłości, radości, pokoju, umiarkowania i wierności — żyją i walczą w najzawziętszej nienawiści ze sobą. Doszło do tego — pisze dalej Spinoza — iż chrześcianina, turka, żyda i poganina, można zaledwie rozróżnić albo po ubiorze, albo po domu modlitwy, do którego uczęszcza — albo też

po nauczycielu, na którego słowa przysięga — sposób życia bowiem jest u wszystkich jednaki.

I dziś nie lepiej — a dlaczego, niech społeczeństwo samo da odpowiedź.

Ogłaszając niniejsze fragmenty, czynię to w tem przekonaniu, iż nigdy nie dosyć skarg i nawoływań do ocknienia i do podjęcia bezwzględnej walki o lepszą dolę — iż czynić to jest obowiązkiem każdego, aż przyjdzie wreszcie czas, kiedy w krwawym blasku pożarów, wśród szczęku oręża runie stary porządek świata, a zaświta nowe, wolne i potężne życie!

. . . .

Cisza. Przedziwne misteryum.

Zdaje mi się, iż słyszę szelest myśli, wyłaniających się z głębin nieświadomości, u tajemniczych źródeł, obcych i nieznanych.

Dziwne źródła. Rodzą się tam myśli i te codzienne, szare, spracowane i te gwałtowne jak piorun — i te podłe, występne i pobożne, ciche i leniwe i strojne w koronki i te najdelikatniejsze dziecięcych marzeń.

I rodzą się tam jeszcze inne — samotne myśli. Znam je, te nieodstępne towarzyszki mego życia.

Oto i dziś przyszły i stanąwszy u progu świadomości, szepczą tajemniczo, jak obłąkany, zapatrzony w majaki chorej wyobraźni.

— Otom jest ja myśl, myśl-człowiek, myśl otchłań bytu, myśl-wszechświat, dobro, sprawiedliwość, piękno i Bóg i prawda przenajświętsza, jedyna. Przezemnie powstało, co jest. Byłam u progów wieczności i wywiodłam tajemnicę nigdy nieukojonej tęsknoty prabytu — tęsknotę wiecznego powrotu.

Cisza naokół.

Tak jasno wiem, iż to nie nastrój. Wszystko dawno minęło. Jestem już z tamtej strony nastrojów. Ich przesłodka muzyka odeszła odemnie, przebrzmiała bez echa.

Dawniej — dawniej.

Ale owe chwile rozwiały się jak mgła poranna w słońcu. Nie pozostało mi nic, oprócz wspomnień. Nie żałuję tych chwil.

Oto siedzę samotny, nikomu niepotrzebny.

Cisza do mnie mówi i kładzie lekkie dłonie na duszę. Gdzieś tam serdeczny szloch załkał na dnie piersi i przycichł. Dawne wspomnienie z lat dziecięcych, jasne, słoneczne.

Nic to — nic. Nie wróci, co minęło. Nie płacz — pociesza mię ktoś — cyt. Czuję, jak coś rwie się i wali w przepaść. Ciepłe krople krwi sączą się wąziutką strugą.

Czyżby serce płakało? (Dok. nast.)

Wesoły kącik.

Z dziedziny mody.

— Litości, godna osobo! Choć grosik.

— A dajże mi spokój! Jedną ręką muszę trzymać suknię, drugą kapelusz, a trzeciej już nie mam.

— O, la Boga, Mośku, zadusita me!

— Głupiście, Wojciechu, takie ciasne garderobe, to teraz modne jest.

— Co mi ta modne, kiej niewygodue.

Ostrożna Juleczka.

— I znów dzisiaj nie umiesz lekcyi. Moja Julciu, czemu ty się nie uczysz?

— Bo ja się boję, żeby nie być uczoną i żeby tak nie wyglądać, jak pan.

ZAGADKI DO NAGRODY.

Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Mróz).

—
— — —
— — —
—
— — —
— — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — —
— — —
—
— — —
— — —
—

Zastąpić kreski literami w ten sposób, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu, środkowy zaś szereg ma nam dać imię i nazwisko polskiego powieściopisarza.

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska, 2) Liczebnik, 3) Środek apteczny, 4) Spółgłoska, 5) Przyrząd do łowienia ryb, 6) Zwierzęta pociągowe, 7) Utwór A. Mickiewicza, 8) Członek opery, 9) Część składowa strzelby, 10) Okres czasu, 11) Spółgłoska, 12) Owad. 13) Rzeka w Rosyi, 14) Samogłoska.

Rozwiązanie nadsyłać można do 12-go b. m., równocześnie z rozwiązaniem szarad z 4-go numeru „Pochodni“.

Za rozwiązanie wspaniała książka do wylosowania.

Wogóle obecnie coraz więcej cennych rzeczy przeznaczać będziemy do nagród, byleby tylko szerszy ogół zainteresował się naszą gazetą.

TELEGRAMY.

Mobilizacya bałkańska.

(Król Ferdynand dowódcą zjednoczonych armii).

Londyn. Ze Zofii donoszą, że państwa bałkańskie mianowały naczelnym wodzem wszystkich ich armii króla bułgarskiego, Ferdynanda. — Serbskie wojsko przekroczyło już granicę bułgarską, by z nimi wspólnie działać.

Ochotnicy dla Bułgaryi.

Paryż. 15000 ochotników, jak podają wiadomości z miasta Zofii, jest już w drodze z Ameryki do Bułgaryi, także z Moskwy nadchodzą wieści treści tej samej, że tamtejsi Bułgarzy i nawet Rosyanie zaciągają się do wojska bułgarskiego jako ochotnicy.

Odjazd z Wiednia studentów południowo-słowiań.

Wiedeń. Drugiego września wieczorem o godzinie 10 i 20 minut, opuściła Wiedeń spora liczba studentów serbskich i bułgarskich zpowodu powołania ich do wojska. W dworcu kolejowym, przed odjazdem pociągu osobowego żegnali się czule owi studenci ze swymi kolegami i znajomymi. Komendę nad nimi objął lekarz pułkowy Włodzimierz Jowanowicz, który przemówił do nich w krótkich słowach, zaznaczając doniosłość związku bałkańskiego jako cel osiągnięty wskutek wielkich wysiłków Słowian południowych. Śpiewom i hymnom narodowym nie było końca. Wkońcu zaśpiewano też hymn rosyjski, przyczem wszyscy stali z gołemi głowami. W tym czasie nadszedł pociąg, zwiastujący odjazd. Do tego samego pociągu wsiadło 10 oficerów tureckich i gdyby nie to, że zastępca naczelnika, Ruttner, zauważywszy przed czasem na co się zanosi, ulokował jak najprędzej owych oficerów w pociągu, byłoby przyszło napewno do poważnego starcia między studentami a tymi oficerami.

Uzbrojenia Albańczyków.

Londyn. Daily Mail donosi z Konstantynopola, że rząd turecki postanowił uzbroić Albańczyków i dać im powierzenie kraju i obronę tegoż przed Serbią i Bułgaryą.

Konstantynopol. — Ultimatum państw bałkańskich.

Przygotowania wojenne Porty.

Położenie państw bałkańskich tak się ułożyło, że Porta turecka oczekuje wręczenia wspólnego ultimatum od państw bałkańskich. W tych dniach jednak nie można skonstatować, jakie wypadki dyplomatyczne wydarzyły się. W każdym jednak razie starania wielkich mocarstw, aby utrzymać stan pokojowy na Bałkanach, nie odnosi żadnego skutku.

Bułgarya potrzebuje pieniędzy a pożyczki nie może dostać.

Sofia. Do wszystkich banków francuskich nadeszła w ostatnich dniach prośba od ambasadora bułgarskiego, rezydującego w Paryżu, w sprawie pożyczki pieniężnej. Banki te jednak dały odpowiedź odmowną, powołując się na obecne okoliczności krytyczne. Suma, mająca być wypożyczona w tych bankach przez bułgarskiego ambasadora wynosiła najpierw 20 milionów koron, a w końcu spadła aż do 5 milionów, lecz i tej kwoty Bułgarya nie otrzymała.

Samobójstwo komisarza giełdowego.

Budapeszt. 67 letni komisarz giełdowy Dawid Gustaw Löw zastrzelił się w tych dniach w swoim domu w Budapeszcie. Z pozostawionego po nim listu wyczytano, że utracił w przeciągu jednego tygodnia pół miliona koron. Prócz tego oświadcza, że zapłacił długi wszystkie i byłby może tę stratę majątkową przeżył, lecz podeszły wiek, jak również strata owych pieniędzy, popchnęły go do tego czynu rozpaczliwego. W końcu zaznacza, że 50.000 kor., które rzekomo jest komuś winien, nigdy nie wypożyczył.

Bunt w Meksyku.

Zamordowanie amerykańskiego wicekonsula.

(*Telegram*). Amerykański wicekonsul z Durange, Mr. Cagh, został zamordowany przez tamtejszych buntowników.

9100 m balonem w powietrzu.

(*Telegr. pryw.*). W tych dniach przedsięwzięli jazdę powietrzną balonem „Harburg“ III. z Bitterfeld docent prywatny, Wieyand i berliński lekarz sztabowy Flemming, którzy osiągnęli niezwykłą wysokość w 9100 m przy — 43° C. Nie jest to bynajmniej rekord; albowiem w roku 1894 wzniósł się w górę Berson na swoim balonie „Phönix“ na wysokości aż 11800 metrów.

Choroba namiestnika dr. Bobrzyńskiego.

(*Telegram*). Ze Lwowa telegrafują, że stan zdrowia namiestnika dr. Bobrzyńskiego pogorszył się, a to w chwili, kiedy gorączka wzmocniła się. Z powodu takiego stanu jego zdrowia odbędzie się narada lekarska.

Odpowiedzi.

WP. Paweł Gansel w Mazańcowicach: Rozwiązanie szarady konkursowej bardzo dobre.

WP. Franciszek K. w Polskiej Łutyni: dziękujemy za list i prosimy o korespondencyę.

Giełda zbożowa.

Syndykat rolniczy. (Sprawozpanie z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 1-go października 1912.

Tendencya niezmieniona, zaofiarowanie dostateczne, chęć kupna i obroty małe.

Sprzedawano: pszenicę czerwoną i żółtą od 10·50—10·85 k., żyto od 9·25—9·90 k., jęczmień 9·20—10·— k., owies 9·10—9·40 k., kukurudzę węgierską starą 9·65—10·00 k., kukurudzę rosyjską 10·50—1075 k., groch Victoria 14·00—10·00 k., groch zwykły 11 75—12·50 k., groch pastewny 9·50—10·25 k., rzepak zimowy 16·25—16·75 k., otręby przenne 0·——6·0 k., otręby żytnie 0·——7·00 k., omieciee —·—| — k., siano łąkowe 0·00—0·0 k., ziemniaki stołowe 3·——3·50 k., wyka 0·00—0·00. — Wszystko za 50 kilogramów loco Kraków, bez opłaty spożywczej.

Budapeszt, 2 października — Targ zbożowy.

Pszenica na październik 11·44 do 11·45; pszenica na kwiecień 11·96 do 11 97; żyto na październik od 9·68 do 9·69; żyto na kwiecień 10·26—10·27; owies na październik 10·92 do 10·93; owies na kwiecień 10·73 do 10·74; kukurudza na sierpień 9·55 do 9·55; kukurudza na maj 0·00 do 0·00; rzepak na sierpień —·— do —·—.

Oferty: mierne. Chęć kupna: żywa Usposobienie spokojne zmienne.

KALENDARZYK			Długość dnia		Wschód słońca		Zachod słońca	
			g.	m.	g.	m.	g.	m.
5	Sobota	Placyda i Flawii	5	47	5	09	11	22
6	Niedziela	19 po Św. NMP. Róż.	5	49	5	07	11	18
7	Poniedz.	Birgity wd., Mar., Just.	5	50	5	05	11	15
8	Wtorek	Laurencyi i Pelagii pok.	5	52	5	03	11	11
9	Środa	Dyoniz. z tow. i Ludw.	5	53	5	01	11	08
10	Czwartek	Zw. p. Choc. Franc. B.	5	55	5	59	11	04
11	Piątek	Firmina bw. i Zenaidy	5	55	5	57	11	01
12	Sobota	Maksymiliana b. i Eust.	5	58	5	55	10	57

NADESŁANE.

P. T. Czytelnicy „Pochodni“!

Niebywała okazyjna nagroda!
Za rozwiązanie konkursowej szarady
Nagroda w łącznej wartości:
Koron 1750 Koron
(tysiąc siedemset pięćdziesiąt)

a mianowicie:

1. Koń 4 letni . . . . wartości 420·—
2. Krowa 3 letnia . . . . „ 300·—
3. Rower marki (Puch) . . . . „ 215·—
4. Biust Mickiewicza z alabastru (oryginał) . „ 180·—
5. Maszyna do szycia . . . . „ 150·—
6. Damski zegarek złoty . . . . „ 115·—
7. Męski zegarek złoty . . . . „ 70·—
8. Dzieło sztuki (obraz) „Żniwo“ . . . . . „ 65·—
9. Znakomitej jakości pług . . . . . . „ 62·—
10. Skrzypce . . . . „ 43·—
11. Eleganckie lustro . . . . „ 25·—
12. „Chłopi“ Reymonta, powieść . . . . „ 15·60
13. Album . . . . „ 15·—
14. Jedwabna parasolka . . . . wartości 13·50
15. Serwis na 6 osób . . . . „ 12·—
16. Papierośnica . . . . „ 10·—
17. Torebka skórzana . . . . „ 8·20
18. Kałamarz . . . . „ 7·30
19. Przybory do haftów . . . . „ 6·—
20. Portmonetka . . . . „ 4·50
21. Bartek zwycięzca, Latarnik, Niewola tatarska, Jemioł, Na jedną kartę H. Sienkiewicza „ 3·40
22. Scyzoryk . . . . „ 3·20
23. Perfum . . . . „ 2·80
34. Skrzynka papieru listowego . . . . . „ 2·50
25. Rączka do napełniania . . . . „ 1·—

Wielka szarada konkursowa do nagrody
(ułożył R. K.)

1. 2. 3. 4. 5. 6. 7. 8.

1. 1. 2. 3. 4. 8. 7.
2. 4. 5. 2.
3. 7. 5. 4. 5.
4. 2. 5. 1. 7. 5.
5. 3. 1. 5.
6. 8. 2.
7. 6. 5. 6. 7. 3.
8. 7. 2. 3. 1.
9. 1. 3. 2. 5.
10. 7. 3. 6. 8. 3. 2.
11. 4. 8. 1. 2. 5.
12. 1. 2. 3. 4. 5. 7.
13. 4. 5. 6. 2. 5. 4.
14. 6. 2. 3.
15. 7. 3. 1. 5.
16. 1. 3. 7.
17. 3. 7. 5.
18. 4. 3. 1. 7.
19. 2. 5. 4. 7. 5.
20. 1. 7. 5. 2. 5.

Numera od 1. do 8. zastąpić literami, które utworzą nazwisko jednego z największych poetów polskich.
Zastąpiwszy zaś liczby literami, powstanie 20 następujących słów:
1. ptak, 2. chroni od wylewu, 3. napój, 4. zwierzątko lub dar Boży, 5. owad, 6. inaczej glina, 7. inaczej zabawka, 8. znajdziesz w polu, 9. rzeka w Galicyi, 10. naczynie kuchenne, 11. rzeka w Europie, 12. mieszkaniec półn.-zach. Węgier, 13. imię męskie, 14. urząd, 15. narzędzie rolnicze, 16. płyn, 17. rzeka w Rosyi, 18. materyał łatwy do topienia, 19. sprzęt domowy, 20. inaczej kamień.

Do konkursu stawać może tylko roczny prenumerator; przyczem ci, co nadeślą roczną prenumeratę we wrześniu i w październiku będą mieli podwójne szanse wygrania, bo otrzymają dwa losy, czyli nazwisko ich wypisane będzie dwa razy do urny, a dalsi z listopada aż do 1-go lutego 1913 jak zwykle otrzymają jeden los.

Rozwiązanie nadsyłać można w każdej chwili do 1-go lutego 1913, poczem następuje zamknięcie i sprawdzanie listy, które potrwa cały miesiąc luty, a losowanie odbędzie się **1-go marca 1913 r.**

Tych wszystkich, którzy nadeślą dobre rozwiązanie, wymieniać będziemy w gazecie, aby każdy mógł odrazu sprawdzić czy rozwiązanie jego doszło do Administracyi „Pochodni“.

Administracya „Pochodni„
Kraków, ul. Sławkowska 6.

Po odcięciu wypełnić!

Do Administracyi Tygodnika „POCHODNI“
Kraków, ul. Sławkowska 6.

Szarada: ....
(Wypisać rozwiązanie 1. 2. 3. 4. 5. 6. 7. 8.).

Rozwiązał: ....

Dokładny adres.

w ....

o. p. ....

(który prenumeratę za „POCHODNIĘ“ przesłał, przesyła przekazem pocztowym).

(Wyraz niepotrzebny przekreślić).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Roman Wandzel. Drukarnia „Polonia“ Kraków, Długa 56.